

FESTIWAL SZKÓŁ TEATRALNYCH - ZAPISKI

Wtorek

Czarne obcisłe spodnie i skórzane kurtki, białe podkoszulki i buty. Dynamika żywiołowość grupy młodych tancerzy - festiwal otworzył jak zwykle musicalowy numer w wykonaniu studentów trzeciego roku. W tekście piosenki powracał refren *Chodźmy wreszcie już grać*, nawiązujący nie tylko do zbliżających się przedstawień, ale i do czekających na najlepszych absolwentów teatralnych karier. Układ niby to się kończył, by po żywiołowych owacjach powracać w kolejnych odsłonach. Bardzo to było dowcipne: odsuwanie rozpoczęcia festiwalu wyśpiewywaniem w coraz to nowych wariacjach *Chodźmy wreszcie już grać*. Przewrotne jak operowe arie zapowiadające śmierć heroiny, wyrafinowane jak subtelna gra miłosna. W końcu udało się zakończyć i zacząć dowcipną konferansjerkę - powitania, podziękowania i skierowane do siebie pytania: Kim jestem? Co tutaj robię? Dlaczego ja? Wymienienie wszystkich sponsorów, patronów i gości nigdy nie było sprawą łatwą. Tym razem jeden z prowadzących zapomniał nazwiska pani dyrektor Departamentu Szkolnictwa Artystycznego i Edukacji Kulturalnej MKiDN. Pani Lidia Skrzyniarz wybrnęła po mistrzowsku - życzyła młodym aktorom tak wspaniałej gry, by nikt nigdy nie zapomniał ich nazwisk. Przy okazji zapewniła, że państwo jest współczesnym mecenasem sztuki i że festiwal nie będzie miał problemów z finansowaniem.

A potem zobaczyliśmy drugi w historii film dyplomowy studentów Wydziału Aktorskiego - *Kryształową dziewczynę* w reżyserii Artura Urbańskiego. Łódzcy studenci dzięki tworzącej się na naszych oczach tradycji filmowych dyplomów dostają o jedną szansę pokazania się więcej. Myślę, że tę szansę wykorzystali - mimo wielu trudności na planie powstał film, który bez żadnej taryfy ulgowej powinien wejść w festiwalowy i kinowy obieg.

Kilka historii o miłości - podtytuł określa temat filmu. Reżyser, który jest też autorem scenariusza, teoretyczne rozważania na temat miłości konfrontuje z prawdą konkretnych ludzi zaplątanych w mniej lub bardziej udane związki. Od razu jednak tę prawdę kwestionuje autotematycznym wątkiem, w którym narrator demaskuje kłamstwa przekładu historii na filmowy obraz. Teoria to wykłady z filozofii poświęcone *Fragmentom dyskursu miłosnego* Rolanda Barthesa, na których poznaje się dwoje bohaterów - Adrian (Bartosz Sak) i Magda (Magdalena Żak), to także psychologiczne wywody z książki, którą pisze Szymon (Oskar Stoczyński). Życie to między innymi historia Jacusia (Mateusz Kocięcki), beznadziejnie zakochanego w Wasylu (Konrad Eleryk) i kilka innych, które dość luźno łączą się poprzez bohaterów. Łączą się, a raczej są na siłę połączone, gdyż kompozycja trochę przegrywa z potrzebą stworzenia dużej liczbie aktorów szansy pokazania się w znaczących scenach. Dlatego niektóre sceny wydają się doklejone (np. praca Magdy w radiu), inne są nagle porzucane (wątek rodziny Wasyla), by powrócić w jednozdaniowym wspomnieniu gdzieś pod koniec. Ogólnie pierwsza część to połączenie kina moralnego niepokoju à la Zanussi z gejowską komedią romantyczną. Z każdą minutą jest jednak coraz lepiej, aż do mocnego zakończenia kojarzącego się z *Festen* Thomasa Vinterberga. Kluczem do zrozumienia postaw bohaterów okazuje się sytuacja rodzinna, skrywane tajemnice wychodzą na jaw.

Warto odnotować wysmakowane, ale nie efekciarskie zdjęcia Zuzanny Kernbach (pięknie pokazana w bielach scena kąpieli tytułowej bohaterki, granej przez Natalię Klepacką), a także kilka bardzo dobrych kreacji aktorskich. Bartoszowi Sakowi udało się stworzyć autentyczną postać delikatnego

twardziela - studiującego filozofię, ale i trenującego kolarstwo, odważnego i uczciwego, choć nieraz raniącego swoich bliskich, opiekującego się śmiertelnie chorą dziewczyną, ale i bijącego niedosłego szwagra (który okazuje się damskim bokserem z dyplomem psychologa). Natalia Klepacka czaruje tajemniczym uśmiechem Mony Lisy, który rodzi się w jej bohaterce mimo ogromnego cierpienia. Mateusz Kocięcki pozwala nam pośmiać się ze swojej postaci, by w końcu wzbudzić w widzu ciekawość i współczucie, Konrad Eleryk jako Wasyl zdobywa nie tylko serce Jacusia, ale i damskiej części widowni (w plebiscycie na najbardziej elektryzującego aktora ma spore szanse), aktor świetnie oddaje ambiwalencję uczuć wobec dziwnej sytuacji, która spotyka jego bohatera.

Środa

Weronika Szczawińska przygotowała ze studentami wrocławskiej szkoły adaptację *Orlanda* Virginii Woolf. Bałem się trochę, że wyjdzie z tego jakiś genderowy manifest, ale nie. Przedstawienie jest raczej pochwałą teatru, wariacją na temat sposobów podawania tekstu, szkołą teatralną w teatrze. Jedenaścioro aktorów na pustej scenie wygłasza opowieść o pięknym młodzieńcu, który zmienił się w kobietę. Fragmenty narracji podają pojedynczo, dwójkami, trójkami, stojąc w rzędzie lub upozowani na grupę z barokowego obrazu, przez mikrofon lub chórem, głosem swoim lub udającym płć przeciwną. Przeciwną? Czy w ogóle można tu mówić o płci przeciwnej, gdy każdy może mówić w imieniu innego, a płć to bardziej kwestia zaimków i społecznych konwencji.

A jednak reżyserka tworzy z aktorów dwie grupy - kobiety i mężczyzn. W niektórych scenach stoją naprzeciw siebie, w niektórych poruszają się przypisanym do swojej płci krokiem. Co ciekawe, aktorów jest jedenaścioro. Skąd ta nieparzysta liczba? Dlaczego chłopcy mają jednak przewagę? Może tyle akurat osób miało zagrać w tym dyplomie, a może tytuł powieści (przedstawienia) przeważył szalę? Warto jednak zauważyć, że jeden z aktorów wystylizowany jest na młodego efeba w stylu obrazów Caravaggia. Może więc jest kimś pomiędzy płciami? Może "łączy krzepkość mężczyzn z delikatnością kobiety" i symetria nadal jest zachowana? Jak by bowiem do problemu płci nie podchodzić (biologicznie, filozoficznie, psychologicznie, religijnie), wszyscy zgadzają się w jednym - konieczne jest wzajemne uzupełnianie się obu pierwiastków.

W drugiej części każdy z aktorów dostał szansę na solowy popis - mieliśmy piosenki, taniec, pantomimę, kabaretowe żarty ze zmianą głosu. Założenie, że każdy z aktorów musi mieć swoje 5 minut, niepotrzebnie wydłużyło przedstawienie, choć nie przeczę - dało szansę zapamiętać poszczególne osoby, a nie tylko zespół jako całość (ja zapamiętałem Polę Błasik i Artura Caturiana). Ta sytuacja powtarza się w dyplomach od lat: wiele przedstawień traci spójność i tempo z powodu "sprawiedliwego" dzielenia czasu na scenie.

A potem przeszedłem się z Teatru Nowego do Studyjnego ulicą Wólczańską. Tą samą ulicą szła intrygująco ubrana kobieta, niepewnie rozglądając się na boki. Wiedziałem, że w końcu spyta kogoś o drogę. Oczywiście szła tam, gdzie ja, na festiwal przyjechała z Torunia. Okazało się, że jest socjologiem prowadzącym badania nad stosunkiem młodych aktorek do ciała (metodą wywiadu pogłębionego). Kto wymyśla takie tematy? Od razu chciałem przyłączyć się do zespołu badawczego, ale wszystkie miejsca okazały się zajęte. Mogłem jedynie posłuchać o wstępnych wnioskach z dotychczas przeprowadzonych wywiadów: zdaniem pani socjolog im dłużej młode adeptki zawodu aktorskiego studiują, tym bardziej są zazdrosne o wygląd, o powodzenie, o role. Teza jak teza...

...w sam raz do przemyślenia przed *Laleczką* Tennessee Williamsa w reżyserii Jacka Poniedziałka. Niestety, poszedłem na pierwsze, nieudane przedstawienie - podobno późnym wieczorem zagrali dużo lepiej. Tego wieczora mogliśmy się przekonać, jak ważna jest energia publiczności. Widownia

zapełniona w połowie w ogóle nie napędzała młodych aktorów, którzy nie mogli wejść w swoje role. Nie poznawałem (a raczej ze zdumieniem poznawałem) znakomicie grających w dyplomowym filmie aktorów, którzy snuli się po scenie bez celu, wciąż otwierając i zamykając jakieś drzwi. Całość uratowali Krystian Pesta (grający włoskiego właściciela fabryki rujnującej małe zakłady przetwórstwa bawełny) i Magdalena Celmer (pomieszkująca kątem u pary głównych bohaterów garbata ciotka). Oskar Stoczyński jako Archie był naprawdę groźny i brutalny, ale to rola zbudowana trochę jednowymiarowo.

Zastanawiam się nad sensem wyboru tej akurat sztuki (właściwie scenariusza filmowego) na przedstawienie dyplomowe. Czy problemy amerykańskich przetwórców bawełny są rzeczywiście na tyle uniwersalne, by powiedzieć dziś tym tekstem coś ciekawego? Owszem, są tu wyraziście zarysowane postaci, ale czy to wystarczy? Przy okazji - z 12 pokazywanych na festiwalu sztuk tylko 2 zostały napisane przez polskich autorów, tylko 1 opisuje bezpośrednio polską rzeczywistość.

Czwartek

W poszukiwaniu polskich dramatów współczesnych kolejny dzień festiwalowy rozpocząłem udziałem w promocji książki *Ikony, pseudoherosi i zwykli śmiertelnicy*. Wydana przez Agencję Dramatu i Teatru antologia zawiera 7 polskich dramatów napisanych (i wystawianych) w XXI wieku. Teksty Artura Pałygi, Jarosława Jakubowskiego, Piotra Rowickiego, Szymona Bogacza, Jolanty Janiczak, Roberta Jarosza czy Szczepana Orłowskiego być może kiedyś będą podstawą dyplomowych przedstawień. Na razie na festiwalu Jarosz i Orłowski pojawili się jako uczestnicy warsztatów dramaturgicznych *Dramat w procesie rozwoju*. To bardzo cenna inicjatywa, pozwalająca dramaturgom, reżyserom, aktorom i twórcom multimediiów wspólnie pracować nad najnowszymi tekstami. Cztery grupy przez tydzień przygotowywały pokazy, które 11 i 12 maja można było obejrzeć w Szkole Filmowej. Jak podkreślali dramaturdzy (oprócz wymienionych także Marek Mordosewicz i Michał Zdunik), głośna lektura tekstów i uwagi aktorów pozwoliły im dokonać znaczących przeróbek (skrócić niektóre kwestie, usunąć lub dopisać sceny, przestawić kolejność scen).

W drugiej części spotkania niezwykle wystąpienie miała pani Elżbieta Baniewicz, autorka posłowie do antologii. Całkiem szczerze wyznała, że choć posłowie napisała, to tak naprawdę podoba jej się tylko jedna z zamieszczonych w książce sztuk (chodziło o *(Nie)ludzkie dzienniki* Szymona Bogacza). Reszta cierpi na nadprodukcję słów w stosunku do sensów, jest pozbawiona formy, konstrukcji. Mroźek czy Różewicz wymyślali nowe formy, dlatego ich sztuki wystawia się latami. Dziś teksty powstają na zamówienie reżysera i są tekstami do jednokrotnego użytku. Performance zastąpił pojęcie reprezentacji. Zdaniem Baniewicz to moda, która przyszła z Ameryki, gdzie jest 200 wydziałów teatrologicznych, a nie ma zawodowych teatrów. Moda na performance jest jak szkarlatyna, przez którą trzeba przejść. Dobrze powiedziane.

Jakby na potwierdzenie kryzysu współczesnej dramaturgii AT Warszawa wystawiła... Goldoniego. *Awantura w Chioggi* w reżyserii Waldemara Śmigasiewicza to klasyczna, choć lekko uwspółcześniona komedia z XVIII wieku. Niewątpliwie posiadająca wiele uroku (np. malowane dekoracje przedstawiające włoskie miasteczko, dziewczyny grające zmysłowe Włoszki, ludowa pieśń śpiewana przez społeczność miasteczka, dowcipne rekwizyty), ale jaki był powód jej wystawienia? Trudno odgadnąć. Może morał - jakże dziś w Polsce aktualny - że kłótnia nie popłaca, a zgodnie trzeba trochę pomóc? A może rzecz ma być peanem na cześć miłości, do której wszyscy - mimo przeszkód - tęsknią? Albo wyrazem nostalgii za klimatem znanym z włoskich filmów... W każdym razie Marta Trawczyńska pokazała wyrazistą sceniczną osobowość, a Szymon Roszak (jako Padron Fortunato) tchnął w ten spektakl trochę komizmu, czyniąc rozrywkę bardziej wesołą

Obdarzony naturalną vis comica aktor nie uszedł uwagi młodego reżysera, który na festiwalowych spektaklach szukał kandydatów do swojej licencjackiej etiudy. Okazuje się bowiem, że na łódzki festiwal przyjechało nie tylko 20 dyrektorów teatrów, ale że utalentowanych aktorów szukają tu także ich rówieśnicy z Wydziału Reżyserii. Jędrzej Michalak chyba znalazł odpowiedniego kandydata, dostrzegając w grze Roszaka ten rodzaj energii, który gwarantuje porozumienie na planie. *Osobowość aktora może mnie nawet zainspirować do zmiany scenariusza* - mówi młody reżyser, z którym rozmawiam w tłumie czekających przed wejściem na kolejny spektakl.

Między nami dobrze jest Doroty Masłowskiej przygotowała ze studentami krakowskiej PWST (specjalność wokarno-aktorska) Agnieszka Glińska. Znakomite przedstawienie oparte na absurdalnym poczuciu humoru Masłowskiej. Trzy pokolenia polskich kobiet, żyjące wspólnie w braku swoich pokojów: Osowiała Staruszka (Karolina Wasilewska), Halina (Małgorzata Biela) i Mała Metalowa Dziewczynka (Zuzanna Czerniejewska) w powykręcanym językowo dialogu pokoleń. A raczej w osobnych monologach, którym tak trudno się spotkać w zagraconej przestrzeni brzydkiego mieszkania (kraju). Czy coś w jest stanie uratować ich kaleką wspólnotę? Na pewno nie przedstawiciele artystyczno-medialnej elity, kręcący i recenzujący film *Koń, który jeździł konno*, równie głupi jak darmowa gazetka znaleziona w kubie na makulaturę. Wszystko oprócz powstańczej opaski na ramieniu Osowiałej Staruszki zapożyczone z miejsc, do których bohaterki nie pojechały na wakacje. Jak tu się wywinąć od urodzenia Polakiem? No właśnie, Masłowska jest przekorna i niejednoznaczna, bo pokazując całą pokraczność polskiej rzeczywistości, jednocześnie uświadamia nam, że od własnej historii, własnej babci z powstania nie da się odwrócić. Dlatego pieśń Warszawy ma brzmieć tak przejmująco, choć inne utwory może bardziej przebojowe lub inteligentniej sparodiowane. Młodzi aktorzy nie tylko świetnie grają (jak zmienia swą fizyczność Małgorzata Biela, jak konsekwentnie tworzy postać staruszki Karolina Wasilewska, ale też potrafią zaśpiewać wszystko (zwłaszcza obdarzona wspaniałym głosem Karolina Burek). Siedziałem w pierwszym rzędzie, dosłownie między stołem a wersalką - w samym sercu Polski.

Piątek

Przed pokazem *Dogville* (PWST Kraków) rozmawiam z **Magdaleną Celmer** (PWSFTViT w Łodzi):

PG: *Laleczkę* graliście na festiwalu dwa razy w ciągu jednego dnia - które przedstawienie było lepsze?

Magdalena Celmer: Ciężko powiedzieć, ale wydaje mi się że to drugie. Ze względu na obecność Jury pojawiła się adrenalina. A to nam pomaga. Po tym pierwszym przebiegu długo rozmawialiśmy z reżyserem- Jackiem Poniedziałkiem. Dawno go u nas nie był, chciał przypomnieć parę ważnych rzeczy, nad którymi pracowaliśmy, a które jego zdaniem niemal zniknęły. I ta rozmowa bardzo pomogła, weszliśmy na scenę z nową energią i, co ważne z ciekawością co się na niej wydarzy! Zdecydowanie to drugie.

Jak przebiegała praca z panem Poniedziałkiem?

Inaczej niż z reżyserami, z którymi do tej pory pracowałam w szkole. Faza prób stolikowych, czytania i analizowania tekstu, była dużo krótsza. Już po tygodniu Jacek wygonił nas na scenę i kazał improwizować. Już po kilku próbach znaleźliśmy wspólny język. Jacek cały czas zaznaczał, że nie przyjechał do nas ze swoim konkretnym pomysłem na przedstawienie, który musi na siłę zrealizować. Powtarzał, że robimy to razem, że jesteśmy za to odpowiedzialni w równym stopniu.

Wiedzieliśmy, że możemy mu zaufać. Najpiękniejsze w pracy Jackiem było to, że nie czułam się odtwórcą tylko współtwórcą. Ta proporcja bardzo cieszyła, bo taka sytuacja nie zdarza się zawsze.

Zarówno w filmie dyplomowym, jak i w *Laleczce* gra pani kobiety krzywdzone przez mężczyzn, ofiary przemocy domowej. To przypadek? Odpowiada pani takie zadanie?

Cieszyłam się z ról, które dostałam. I prawdą jest (choć wiem, że to dość nietypowe), że nie lubię ładnie wyglądać na scenie, być ozdobą, pięknym ciałem do oglądania. Problem kobiet przebojowych, pięknych i żądnych sukcesu średnio mnie interesuje. Chce grać ludzi, których mijam na ulicy. Wystarczy szerzej otworzyć oczy, codziennie mam nowy pomysł na scenariusz.

W *Laleczce* dostałam specyficzną charakteryzację: posiwione włosy, zmarszczki, popękane naczynka i sztuczny garb. I wspaniale! Stwierdziliśmy z kolegami z roku, że Cioci Róży nie ma bez garba i powinnam napisać książkę pod tytułem "Ja i on", albo "Moje życie z nim" lub "Na zawsze razem". Oczywiście na samym końcu czytelnik się dowiaduje, że chodzi o garba. Czy ja właśnie zaspoilerowałam ?

Ucieszyły panią dobre recenzje w festiwalowej gazecie?

Oczywiście, zwłaszcza że nie spodziewałam się że mały epizod może być uznany za najlepszą rolę spektaklu! To mój jedyny dyplom teatralny i trochę się obawiałam, wiadomo chciałoby się pokazać cały wachlarz możliwości, rozhulać się i... Ach! Ale musiałam dumę schować do kieszeni i z pokorą podejść do pracy nad rolą Cioci. W niedługim czasie pokochałam i ją i ten nieszczęsny garb.

A potem obejrzałem *Dogville* na Małej Scenie Teatru Nowego. Ponieważ całkiem niedawno oglądałem *Dogville* na Dużej Scenie tego teatru, porównania nasuwały się same. Spektakl studentów z Krakowa w reżyserii Aleksandry Popławskiej trochę mniej mi się podobał, ale startował przeciw w innej konkurencji. Scenograficznie bardziej nawiązujący do filmu von Triera, ma wiele dobrych momentów. Świetnym pomysłem było połączenie postaci narratora, policjanta i Wielkiego Człowieka (gangstera, brata Grace) - świetna rola demonicznego Karola Bernackiego. On i Grace w wykonaniu Karoliny Kuklińskiej byli wiarygodni i intrygujący do ostatniej sceny, w której jednak zupełnie mnie nie przekonali. Konstrukcja spektaklu upadła niczym zbyt mocno pociągnięta przez aktorkę kotara. Zastrzelenie mieszkańców przeklętego miasteczka nie miało rangi biblijnej kary, pointa wielkiej historii była strzałem z korkowca.

Sobota

Dzień zaczyna się od leniwego odpoczynku na leżakach. Ale to nie ja odpoczywam, tylko aktorzy grający w krakowskim przedstawieniu *Jednak Płatonow* w reżyserii Pawła Miśkiewicza. Pierwsze trzy minuty: słuchamy sobie wszyscy słynnego chóru *Va Pensiero* - aktorzy na leżakach, obserwująca ich twarze publiczność stłoczona na widowni wydzielonej z kawałka sceny. Mamy czas, wiadomo - Czechow wymaga niespiesznego tempa. Pomyślałem, że to byłoby naprawdę ostre zagranie, gdybyśmy tak wysłuchali całej opery, gdyby cały spektakl rozgrywał się tylko w mimice rozleniwionego towarzystwa.

Ale jednak nie, jednak zaczęła się rozmowa i skonkretyzowały się postaci: Anna, Olga, Sonia, Mikołaj, Sergiusz, potem także Osip. No i Płatonow, a właściwie dwóch Płatonowów, gdyż kwestie tytułowej postaci zostały podzielone między dwóch aktorów (Oskara Winiarskiego i Patryka Kulika),

odgrywających dwie strony osobowości bohatera, niepoprawnego donzuana niepewnego swojej krętej drogi do szczęścia. Pierwsza część spektaklu trochę nużąca (być może celowo), druga, w której z tarasu dziewiętnastowiecznej rosyjskiej willi przenosimy się na salę gimnastyczną jakiejś współczesnej szkoły, zdecydowanie ciekawsza. Zamiast opery - perkusja, zamiast leżaków - materace i śpiwory, drabinki i liny do podciągania. Zmienia się otoczenie, ale Płatonow i jego słabości pozostają takie same. Nadal uwodzi i porzuca kobiety, nadal kabotyńsko filozofuje. Tytuł spektaklu wskazuje, że to jednak klasyczne teksty są najlepszym zwierciadłem współczesności.

O łódzkiej *Marii Stuart* pisałem już [tutaj](#)

Warto zauważyć, że od premiery łódzcy studenci mogli ją zagrać kilkadziesiąt razy, a z każdym kolejnym przedstawieniem spektakl powinien stawać się lepszy. Teatr Studyjny robi świetną robotę - ciekawe, czy jutro potwierdzą to jurorzy.

Na koniec mała anegdotka. Skuszony legendą "Przechowalni", wybrałem się do festiwalowego klubu, by poczuć atmosferę. O 20.00 wszystko było zamknięte na cztery spusty (po jednym dla każdej szkoły), więc powłóczyłem się godzinę po Piotrkowskiej i o 21.00 powróciłem do bram festiwalowego rajku. Zakołatałem i tym razem mi otworzono, ale w środku zobaczyłem pustkę opustoszałych kanap i krzesełek. Gdzie ta aktorska młodzież? - zapytałem barmankę, zamawiając kieliszek czegoś pokrzepiającego. Okazało się, że młodzież schodzi się po 22.00, by balować do szóstej rano (w zeszłym roku bywało, że i do ósmej). To nie dla mnie i nie dla mojej kieszeni - pomyślałem, po czym wypytałem barmankę o serwowane studentom trunki. Okazało się, że w festiwalowym rankingu wygrywa piwo, drugie miejsce zależy od płci: kobiety - gin z tonikiem, mężczyźni - whisky, na trzecim miejscu kolorowe wódki. Gdy zapytałem o wino, pani machnęła tylko ręką. Była za to zachwycona przebiegiem kolejnych wieczorów: *jest bardzo wesoło, ale kulturalnie, żadnych awantur, bardzo lubię te kilka dni, choć mamy dużo pracy.*

Niedziela

Fantastyczna atmosfera, choć wszyscy już nieco zmęczeni festiwalem. W oczekiwaniu na rozpoczęcie ceremonii wręczenia nagród studenci śpiewają na widowni przebój Andrzeja Piasecznego. W końcu pojawia się piątka konferansjerów - tym razem z notatkami w rękach. Potem są przemówienia i podziękowania, prorektor Michał Staszczak dziękuje ekipie przygotowującej festiwal za ogromny wysiłek, Dorota Segda (nowa rektor PWST Kraków) wzruszająco dziękuje za festiwal i ciepłe przyjęcie w Łodzi. *Nikt w Polsce nie wyobraża sobie ukończenia studiów aktorskich bez udziału w tym festiwalu. To jest pieczętka pod aktem wtajemniczenia.* A potem już rozdanie nagród.

Skrót z protokołu jury (Agata Duda-Gracz - przewodnicząca, Piotr Kruszczyński, Marta Nieradkiewicz, Tomasz Wasilewski, Wioletta Laszczka-Bubień - sekretarz):

Jury przyznało Grand Prix (15 000 zł) za wybitną osobowość sceniczną pani **Marii Dębskiej** z PWSFTViT w Łodzi za rolę Marii Stuart w spektaklu „Maria Stuart” i Lekarza/Dygnitarza w spektaklu „Laleczka”.

Jury przyznało trzy główne nagrody aktorskie w wysokości 5.000 zł każda:

- **Małgorzacie Bieli** z PWST w Krakowie za rolę Haliny/Moniki w spektaklu „Między nami dobrze jest”

- **Magdalenie Celmer** z PWSFTViT w Łodzi za rolę Cioci Róży Comfort w spektaklu „Laleczka”,

- **Mai Pankiewicz** z PWSFTViT w Łodzi za rolę Elżbiety w spektaklu „Maria Stuart”.

Jury przyznało dziesięć równorzędnych wyróżnień w wysokości 1.000 zł każde:

- **Mateuszowi Bierytowi** z PWST w Krakowie za rolę Mężczyzny w spektaklu „Między nami dobrze jest” ,

- **Poli Błasik** z PWST we Wrocławiu za rolę Niny Zariecznej w spektaklu „Mewa” i Orlando w spektaklu „Orlando”,
- **Bartłomiejowi Cabajowi** z PWST w Krakowie za rolę Mikołaja w spektaklu „Jednak Płatonow”,
- **Arturowi Caturianowi** z PWST we Wrocławiu za rolę Orlando w spektaklu „Orlando”,
- **Stephanie Jaskot** z PWST w Krakowie za rolę Marthy w spektaklu „Dogville”,
- **Mateuszowi Korsakowi** z PWST w Krakowie za rolę Hipolita w spektaklu „Jednak Płatonow”,
- **Jakubowi Nosiadkowi** z PWSFTViT w Łodzi za rolę Szambelana w spektaklu „Iwona, Księżniczka Burgunda” i Mortimera w „Marii Stuart”,
- **Oskarowi Stoczyńskiemu** z PWSFTViT w Łodzi za rolę Archie’go Lee Meighan’a w spektaklu „Laleczka” i Walentego w spektaklu „Iwona, Księżniczka Burgunda”,
- **Karolinie Wasilewskiej** z PWST w Krakowie za rolę Osowiałej Staruszki w spektaklu „Między nami dobrze jest”,
- **Magdalenie Żak** z PWSFTViT w Łodzi za rolę Laleczki w spektaklu „Laleczka”.

Jury przyznało nagrody specjalne:

- dwie nagrody w wysokości 2.000 zł każda ufundowane przez Opus Film dla aktorów, których chcielibyśmy oglądać na ekranie telewizyjnym i filmowym: **Konradowi Elerykowi** z PWSFTViT w Łodzi za rolę Księcia Filipa w spektaklu „Iwona Księżniczka Burgunda” i Mojżesza w spektaklu „Laleczka”, oraz **Joannie Rozkosz** z PWST w Krakowie za rolę Anny w spektaklu „Jednak Płatonow”,
- nagrodę im. Jana Machulskiego „Bądź orłem, nie zniżaj lotów” w wysokości 100 USD **Mai Pankiewicz** z PWSFTViT w Łodzi za rolę Elżbiety w spektaklu „Maria Stuart”,
- nagrodę w wysokości 1.500 zł za wrażenia audialne ufundowaną przez Grupę Toya **Karolinie Burek** z PWST Kraków za rolę Bożeny/Edyty w spektaklu „Między nami dobrze jest”.

Jury ubolewa, że dyplomy AT w Warszawie nie dały możliwości docenienia umiejętności i zdolności studentów oraz pragnie podziękować studentom Akademii Teatralnej za wiarę i wysiłek, jaki włożyli w pracę nad tymi dyplomami. Jury dziękuje PWSFTViT w Łodzi oraz PWST w Krakowie za bardzo dobre przygotowanie studentów do pracy w zawodzie, za stworzenie im możliwości wszechstronnego zaprezentowania warsztatu aktorskiego, za stworzenie spektakli dyplomowych o wysokim poziomie artystycznym i dlatego postanowiło przyznać dwie równorzędne nagrody po 5.500 zł każda dla zespołu spektaklu „**Między nami dobrze jest**” (Małgorzata Biela, Karolina Burek, Zuzanna Czerniejewska, Karolina Wasilewska, Mateusz Bieryt, Patryk Szwichthenberg, Marcin Wojciechowski) oraz dla zespołu spektaklu „**Laleczka**” (Magdalena Celmer, Maria Dębska, Konrad Eleryk, Krystian Pesta, Krzysztof Rogucki, Bartosz Sak, Oskar Stoczyński, Magdalena Żak).

Jury dziękuje Władzom PWSFTViT w Łodzi za stworzenie swoim dyplomantom możliwości profesjonalnego debiutu filmowego.

Nagrody publiczności 34 Festiwalu Szkół Teatralnych w wysokości 2.000 zł każda oraz nagrodę bazy „AKTORZY POLSCY” Stowarzyszenia Filmowców Polskich w postaci profesjonalnej sesji zdjęciowej otrzymują:

- **Maria Dębska** z PWSFTViT w Łodzi,
- **Krystian Pesta** z PWSFTViT w Łodzi.

Ponadto swoje nagrody na 34. Festiwalu Szkół Aktorskich przyznali:

- ZASP - Martynie Trawczyńskiej za rolę Donny Libery w spektaklu "Awantura w Chioggi"
- łódzcy dziennikarze - Mai Pankiewicz z PWSFTViT w Łodzi za rolę Elżbiety w spektaklu "Maria Stuart"
- recenzenci gazety festiwalowej - Karolowi Bernackiemu z PWST w Krakowie za rolę w "Dogville"
- Teatr Nowy w Poznaniu zaprosił na gościnne pokazy dwa spektakle z PWST w Krakowi: "Między

nami dobrze jest" i "A jednak Płatonow".

Na scenie jeszcze raz łapię Magdalenę Celmer, by uzupełnić naszą rozmowę sprzed dwóch dni.

PG: Gratuluję nagrody, miałem nosa, by to panią zaczepić.

Magdalena Celmer: Myślałam, że już nigdy nie przeżyję takiej radości jak 4 lata temu przy ogłoszeniu wyników, gdy dostałam się do wymarzonej szkoły. Historia pięknie zatoczyła koło i z taką samą radością, dzięki tej nagrodzie, ją kończę. Trudno wymyślić sobie lepszy prezent. Jestem ogromnie wdzięczna i niewiarygodnie szczęśliwa, ale wiem, że to nie jest przepustka w dostaniu pracy. Także proszę trzymać kciuki!

Na koniec o werdykcie, ocenianiu aktorów i specyfice dyplomów [rozmawiam z Agatą Dudą-Gracz](#)